

OGNISKO DOMOWE

Bezpłatny dodatek — wychodzi co tydzień.

Rok 5

CHOJNICE

Nr. 26

Ewangelja.

Onego czasu: gdy rzesze nalegały na Jezusa, aby słuchały słowa Bożego: a on stał podje jeziora Genezareth. I ujrzał dwie łodzie stojące przy jeziorze: a rybitwy wyszli byli i płókali sieci. A wszedłszy w jedną łódź, która była Symonowa, prosił go, aby maluczko odjechał od ziemi. A śladzszy uczył rzesze z łodzi: a gdy przestał mówić rzekł do Symona: zjedź na głębią, a zapuśćcie sieci wasze na połów. A Symon odpowiedziawszy, rzekł mu: Nauczycielu, przez całą noc pracując, nieśmy nie ułowili; wszakże na słowo twoje zapuszczę sieć. A gdy to uczynili, zagarnęli ryb mnóstwo wielkie. I rwała się sieć ich. I skinęli na towarzysze, co byli w drugiej łodzi: aby przybyli i ratowali je. I przybyli, a napełnili obie łodzie, tak że się mało nie zanurzyły. Co widząc Symon Piotr, upadł u kolan Jezusowych, mówiąc: wyniđź odemnie, bom jest człowiek grzeszny, Panie. Albowiem go było zdumienie ogarnęło, i wszystkie co przy nim byli, z połowu ryb, który pojmał: także też Jakóba i Jana syny Zdebdeuszowe, którzy byli towarzysze Symonowi. I rzekł Jezus do Symona, nie bój się: odtąd już ludzie łowić będą. A wyciągnawszy łodzie na ziemię, wszystko opuściwszy, szli za nim.

Nauka.

Gdy rzesze nalegały na Jezusa, aby słuchały słowa Bożego, a On stał podje jeziora Genezareth.

Podziwiamy tych ludzi ochotę do słuchania słowa Bożego. Niedość im było słuchać Chrystusa Pana mówiącego w bożnicach, miastach i miasteczkach, ale i po górach, po wodach, po pustyniach i kędykolwiek się obrócił, tam rzesze szły za Nim. Ludzie opuszczali domy, dzieci, rzeczy swoje, interesy swoje, rozmilowawszy się w słowie Bożem, jakoby mówili z Prorokiem. O jako wdzięczne podniebieniu memu słowa Twoje; nad miód słodsze ustom moim!

A nietylko chodzili za Panem, gromadzili się koło Niego, ale się cisnęli; prawie się gwałtem darli i nalegali nań, jak powiada Ewangelja święta.

Tu niejeden z was w myśl może oskarżyć te rzesze o nieuszanowanie Osoby Boskiej Zbawiciela Pana, ale jak św. Bonawentura objaśnia, to ich pragnienie słowa Bożego było przed Bogiem tak wielkie, że nawet owo nieuszanowanie słomaczy; przez to swoje pragnienie ten lud więcej uważał na dobroć Chrystusa, niżeli na majestat Jego.

I nic dziwnego, iż rzesze nalegały na Pana Jezusa, by słuchać słowa Jego, bo jeszcze żaden kaznodzieja nigdy tak nie mówił, tak nie ujmował za serce słuchaczy; bo to przemawiał sam Bóg wcielony. Jego to Prorok widząc w duchu, powiada: Rozlana jest

wdzięczność na ustach Twoich, dlatego błogosławił Ciebie Bóg na wieki.

Dlatego ona niewiasta, o której gdzieindziej Ewangelja święta mówi, słuchając nauk Zbawiciela, przejęta słodkością słów Jego, w uniesieniu zawołała: Błogosławiony żywot, który Cię nosił i pierś, któreś ssal. A Chrystus Pan jej na to: I owszem, błogosławieni, którzy słuchają słowa Bożego i strzegą go.

Dlatego i św. Piotr pewnego razu na zapytanie Chrystusa Pana, dane swoim uczalom: Ażali i wy odejść chcecie? Odpowiedział: Panie, masz słowa żywota wiecznego! Do kogoż pójdziemy?

Dlatego i sami nieprzyjaciele Chrystusa Pana, którzy słuchali Go, aby w czym mogli podchwycić, wyznać musieli: że nigdy tak nie mówił człowiek...

W niejednym i waszym sercu, najmilsi Chrześcijanie, może się odczuwać to pobożne pragnienie: o gdybyśmy samego Chrystusa Pana słyszeć mogli!... Gdybyśmy słowa żywota z ust Jego powzięli i w nasze serca głęboko wrazili, co by to było za szczęście!

Lecz czyż i teraz Jego nauki nie słyszymy? Zbawiciel, ten sam, Jezus Chrystus i dzisiaj również do nas przemawia ustami Kościoła swojego, który na swem miejscu zostawił i ten Kościół św. nieomylny, do skończenia świata będzie głosił naukę Chrystusową. Amen.

Kardynał Wiseman.

FABIOLA.

— Zdaje nam się, że to malowidło i inne podobne należą po większej części do czasu, gdy herezja Nowacjana tak bardzo Kościół dręczyła, odrzekł Sewerus.

— A jaka to była herezja, zapytał niecierpliwie Torkwatus, bo mu się zdawało, że czas na niczem traci.

— Była to i jest herezja, rzekł Pankracjusz, która uczyła, że są grzechy, których Kościół odpuścić niemoże; które są zbyt wielkie, aby takowe mógł Bóg przebaczyć.

— Pankracjusz nie spostrzegł, jakie wrażenie te słowa sprawiły; lecz Sewerus, który Torkwata z oka nie spuszczał, widział jak się twarz zdrajcy gwałtownie wstydem i bledością mieniła.

— Czy to herezja? zapytał zmieszany.

— Zapewne i to okropna, odrzekł Pankracjusz. kłaść granice miłosierdziu i łaskowości tego Boga, który nie przyszedł wzywać sprawiedliwych lecz grzeszników do pokuty. Kościół katolicki zawsze wierzyć każe, że grzesznik, jakkolwiek niezliczone jego zbrodnie, przy prawdziwej skrupsie, może otrzymać odpuszczenie mocą lekarstwa, które w ręce Kościoła oddane jest, to

jest pokuty świętej. I dlatego to Kościół tak bardzo ukochał wyobrażenie dobrego Pasterza, który gotów iść w najdziksza puszcza dla odzyskania zgubionej owieczki.

— Lecz rzekł Torkwatus, łaską tknięty i coraz bardziej wzruszony — gdy człowiek, który został schrześcijaninem, upadł i zagrzązł na nowo w grzechu i... i... (głosu mu brakło) ...i nawet braci swoich zdradził, czyby Kościół takiemu człowiekowi nie obiecał wszelkiej nadziei?

— Nie, nie! — odrzekł młodzieniec: — są to właśnie te zbrodnie, których przebaczenie nowacjanie za złe mają katolikom. Kościół jest matką która zawsze gotowa zbłąkane dzieci do łona przytulić!

Łza zakręciła się w oku Torkwata, usta drżały, jakby chciały wyznać winę; lecz po krótkiej walce wewnętrznej złe przemogło, słowa żalu zamarły na ustach, twarde wyraz twarzy zastąpił wzruszenie, nieszczęśliwy przygryzł wargi i rzekł z pozorną obojętnością.

— Jest to pocieszająca nauka, dla tych którzy jej potrzebują.

Jeden tylko Sewerus dostrzegł, że chwila łański minęła dla tego człowieka.

— Zwiedziliśmy już korytarze i kaplice, rzekł Torkwatus do Djogenesa, — pragnąłbym widzieć kościół, w którym się zgromadzać będziemy.

Niepodejrzliwy grabarz szedł już wskazać drogę, gdy ostrożniejszy Sewerus wstrzymał ojca.

— Zdaje mi się ojcze, że dziś zanóžno, jak wiesz, mamy pilną robotę. Nasi przyjaciele wybaczą, tem bardziej, że zobaczą kościół, ponieważ Ojciec św., zamierza w nim ofiarę sprawować.

Zgodzili się na to, i gdy przyszli do miejsca, w którym skręcili z pierwszej prostej ulicy, aby zwiedzić malowany pokój. Djogenes zatrzymał gości, szedł kilka kroków wprost przecznicy przeciwległym bocznym korytarzem i rzekł: — Idąc tym korytarzem, potem w prawo skręcając, wchodzi się do kościoła. Przyprowadziłem was tu, aby pokazać jeszcze jedno śliczne malowidło Matki Dziewicy z Boskiem Dzieciątkiem na ręku.

Wszyscy podziwiali malowidło, lecz biedny Sewerus zafrasował się bardzo, widząc jak pocziwy ojciec nieprzezornie udzielił wiadomości pożądaney Torkwatowi i dostarczył mu nieomylnego znaku do odszukania drogi, zwracając uwagę na grób tuż obok zakrętu, znaczny tak niepospolitem malowidłem.

Gdy się towarzystwo rozeszło opowiedział bratu wszystko, co widział, dodając: Ten człowiek narobi nam kłopotu.

W krótkim czasie pozacierali wszystkie znaki, które Torkwatus porobił przy rogach ulic. Lecz na tem nie przestali; — aby się przeciw zdradzie zabezpieczyć postanowili zmienić drogę, zasypując teraźniejsze wejście, a gdzieindziej je otwierając.

Tymczasem sprowadzili piasek i mieli go na pogotowiu w jednym niskim korytarzu, aby nie zasypać ostatecznie dawnego wchodu, póki by wierni nie byli uwiadomieni o zamierzonej zmianie.

ROZDZIAŁ III.

Na ziemi.

Dla wypoczynku po podziemnej wyprawie musimy zaprowadzić czytelnika do pięknej willi gdzieśmy zostawili Fabiolę zakłopotaną sentencjami, które przypadkiem znalazła.

Wpadła w jej ręce jakby odezwa z innego świata, lecz nie wiedziała z jakiego. Pragnęła coś

więcej w tym przedmiocie wiedzieć, a badać nie chciała.

Nazajutrz miała wiele gości i w kilku następujących dniach często przychodziło jej na myśl temu lub owemu pokazać sentencję, lecz nie mogła tego wymódlz na sobie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Figle

Kaspra Sowizdrzała.

Udał się Kasper do Koźmina, gdzie się zgodził za parobka u pewnego obywatela. Ów nowy jego- mość miał ładną posiadłość pod miastem, lecz strasznie zadłużoną, ponieważ nie umiał się liczyć z groszem i nie gardził bynajmniej kufem i kieliszkiem. Zdarzało się, iż ów obywatel i domownicy poszli do miasta, w domu zaś pozostał tylko Sowizdrzał, który spał sobie snem sprawiedliwego. Jakś podróżny przejeżdżał konno i nie wiedząc, którądy miał dalej jechać, zatrzymał się koło domostwa, w którym Sowizdrzał rezydował, by się o dalszą drogę zapyta. Począł stukać silnie do bramy, aż się Sowizdrzał odezwał.

— Co się tu dzieje, że żywej duszy nie widać? — zapytał podróżny.

— Eh, nic! — odrzekł Kasper — gospodarz poszedł do miasta zło powiększać, a gospodyni po własny wstyd i hańbę,

— Jak to mam rozumieć?

— Rzecz prosta! Gospodarz zalewa robaką, którego nie zaleje, bo pływa jak korek: gospodyni znów poszła pożyczyc chleba, bo w domu na niego nie starczy.

Podróżny pokręcił głową i począł pytać o drogę.

— Jedźcie tam, gdzie gęsi idą! — odpowiedział Kasper.

Objaśnienie to nie było wyczerpującem: niedaleko rozchodzily się drogi, na jednej z nich szło kilka gęsi a obok zaś był staw. Gdy podróżny podjechał, gęsi zeszły z drogi i poczęły pływać po stawku. Jeździec domyślił się łatwo prawdziwej drogi, lecz chcąc filuta przyłapać na słowie, wrócił się do niego, mówiąc:

— Jaką to drogę wskazaliście? gęsi zeszły do stawu i pływają po nim!

— Mówiłem, że macie jechać tam, gdzie gęsi chodzą a nie gdzie pływają! — odpowiedział Kasper i zniknął w izbie.

Opuściwszy Koźmin, kręcił się Sowizdrzał po okolicy, aż zaszedł wreszcie do Żerkowa. W mieście tem spotkał się z dawnym swoim znajomym, który go do siebie zaprosił i któremu odwdzięczając się za gościnność Kasper w pracy pomagał. Obywatel ów miał ładnego wierzchowca, lecz bardzo narowistego, który prócz innych przywarów nie chciał przez żaden most przechodzić. Wady te tak sprzykrzyły się właścicielowi, iż postanowił konia sprzedać, lecz siwka znano dobrze w całej okolicy i nikt nie chciał go kupić. Kasper znał się dobrze na koniach, więc rozmówiwszy się ze znajomym, postanowił sprzedaż konia sam się zająć. Niezadługo miał być jarmark w Jarocinie. Tam go Sowizdrzał zamierzał sprzedać.

Na jarmarku uwijał się Kasper, sypląc dowcipami na prawo i lewo. Ludzi gromadził się tłum, wszyscy się śmiali, lecz kupca jak nie było tak nie było. Widząc, że tą drogą nie nie wskóra, wzmieszał się mię-

dzy kupujących i po chwili znalazł tych, jakich szukał. Zalety wierzchowca uwydatnił jaknajlepiej, wady zaś konia wylczył również dokładnie, lecz przedstawiał je tak dowcipnie, że wyglądały one na drobne, nieznaczne pozory. Pewien obywatel z Mieszkowa kupił wreszcie siwka, a gdy przyszło do zapłaty, zapytał Sowizdrzoła, czy nie ma szkapa jeszcze jakiej wady?

— Już wszystkie wylczyłem, najgorsza z nich jest ta, że siwek nie chce po drzewie chodzić!

— Nie nie szkodzi! — odpowiedział kupujący, śmiejąc się z dowcipu Sowizdrzoła i tak się rozeszli.

Na trzeci dzień przybył ów nabywca do Żerkowa, aby oddać konia, i żądał zwrotu pieniędzy.

— Konia tak narowistego jeszcze dotąd nie miałem: kople, jest strachliwy, uparty, a co najgorsza — nie chce przez żaden most przechodzić. Gdy wracałem z jarmarku wspiał się nagle tak wysoko na moście, iż mnie dobrego jeźdźca zwałił na ziemię!

Ale Sowizdrzał na to:

— Wyraźnie mówiłem Wam, że największą jego wadą jest ta, że nie chce po drzewie chodzić! Po drewnianym moście nigdy panu nie pójdzie.

Skończyło się na tem, iż pomimo gniewu nabywcy, Sowizdrzał o zwrocie konia słyszeć nie chciał i pozostawił kupca z koniem bez wszelkiej dalszej odpowiedzi.

Z Krotoszyna poszedł Kasper w Pleszewskie strony, gdzie zasłynął jako cudowny lekarz. Wygrzebał on na jakimś cmentarzyku czaszkę i z jej pomocą wyprawiał jakieś obrzędy: nadstawiał ucha, mruzczał jakieś zaklęcia i potem oznajmiał, że poznał już chorobę. Swoją drogą Kasper jako człowiek bystry i bywalec znał się dobrze na ziołach i umiał leczyć niektóre choroby, zresztą postępował dość ostrożnie i choć mu najczęściej leki się nie udały, nikomu na zdrowiu nie zaszkodził. Gdy się dziwiono, że czaszkę ze sobą nosi, mawiał, że to jego przyjaciółka, a gdy go straszono śmiercią odpowiedział.

— Co śmierć, znam się z nią oddawna, przyjdzie ona do mnie dopiero wtedy, kiedy będę sobie tego życzył.

Na pytanie ciekawych opowiadał następującą dykteryjkę:

— Wiele lat temu byłem na Wołyniu i Podolu, kiedy panowało tam morowe powietrze, które tam zaraza albo dzumą zowią. Otóż ta dzuma płachtami okryta wałęsała się oł wsi do wsi, a za każdym skłnieniem jej ręki, nie jednego, ale kilkudziesięciu ludzi chwytaly kurcze śmiertelne. Idąc raz przez gęsty bór, dochodziłem właśnie do rozstajnych dróg, gdy nagle spotkałem się oko w oko z dzumą, która nadeszła boczną ścieżką. O ucieczce nie było tam mowy, bo dzuma jak chce to i konia prześcignie, stanąłem więc jak wryty, lecz że się już z śmiercią bardzo otrzaskałem, nie straciłem fantazji patrząc jej śmiało w oczy.

— Podobasz mi się człowiecze — odezwała się wiedźma — nie złego ci się nie stanie, jeżeli mnie nosić będziesz, bom już bardzo strudzona tą ciąglą bleganiną, a mam jeszcze wiele drogi przed sobą.

Nie mając innego wyboru, zgodziłem się na jej życzenie: dzuma była co prawda lekką jak piórko, lecz zato wciągała mnie, abym szedł dalej. Od rana do nocy musiałem prawie iść bez wytchnienia, co mnie bardzo zmęczyło, z trwogą myślałem, co się stanie: albo umrę na dzumę, albo gdy siły całkiem mnie opuszczą, zostawi mnie wiedźma gdzie na drodze i pójdzie dalej na własnych nogach, aż znajdzie znów głupca jak ja, co ją nosić będzie. Druga rzecz,

co mnie rozpacza napelniała, był to widok ciągłych klęsk i strasznych nieszczęść, które to straszdyło wszędzie szerzyło.

Zdarzyło się raz, że gromada psów opadła nas, szczekając zawzięcie. Ponieważ byłem okropnie zmęczony i ledwo się więc mogłem, pozwoliła mi dzuma wleźć na pobliski stóg słana, sama zaś usiadła sobie na drabnie i zabawiała się drażnieniem psów, wyciągając nogę. Tymczasem drabka się osunęła i napadła na ziemię, do czego ja ukradkiem pomogłem; psy rzuciły się na upiorycę i okropnie ją poszarpały, lecz nie udała mi się sztuka, bo upiorycyca z wielką szybkością przystawiła drabnię i w jednej chwili dostała się na stóg. Jedną przynajmniej miałem pociechę, że wiedźma nie domyśliła się podstępu, a ponieważ psy przez noc całą trzymały stóg w oblężeniu, miałem czas dobrze wypocząć.

Pewnego dnia przyszedłem nad brzeg wielkiej rzeki, płynącej w głębokim parowie, nie namyślając się długo przytrzymałem mocno upiorycę za nogi i skoczyłem głową naprzód do topieli. Woda na moją szczęście nie była głęboka, sięgała mi tylko do pasa, straszdyło musłało się mocno potłuc, mnie zaś nic się stało i zamim dzuma ocknęła, przytrzymałem ją mocno pod wodą i przywaliłem wielkimi kamieniami a potem w nogi mój drogi. Jeszcze nie uszedłem nawet mil, gdy nagle jakiś szmer usłyszałem za sobą obracam się a tu śmierć z kosą goni mnie. Zdrętwiałem, śmierć tymczasem zatrzymała się przedemną i rzekła:

— Nie bój się człowiecze, nic złego ci nie zrobię, owszem muszę cię wynagrodzić, żeś się gracko spisał. Oto dzuma sprawiała mi wiele kłopotu, mieszając się w me sprawy, ponieważ jednak ma wielką moc, nie mogłam jej nic zrobić. Teraz gdy się tak skapała, uciekła na wschód słońca, skąd przyszła. Za przysługę, którą mi oddałeś, przyrzekam tobie, że tak długo żyć będziesz aż mnie sam zawezwiesz, a teraz chodź za mną, pokażę ci skarb jakiegoś skąbca, którego wraz z całą rodziną dzuma uśmierliła. Pieniądze daję tobie!...

Po tych słowach zaprowadziła mnie śmierć na pewne miejsce, gdzie kazała kopać. Gdy w brakołopaty zaczął grzebać jakimś kawałkiem drzewa i po chwili roboty obejrzał się w koło, śmierci już nie było. Grzebiąc głębiej znalazłem skrzynkę, a gdy kamieniami rozbiłem, pokazało się, że były w niej worki ze złotem i srebrem. Zabrawszy złoto i nieco srebra, doszedłem do wsi, gdzie zastałem kilku tylko jeszcze ludzi przy życiu. Opowiedziałem im radosną nowinę, posiliłem się nieszczęście, a odchodząc wskazałem im miejsce, gdzie była reszta skarbu. Ponieważ w kraju wielka była nędza, rozdawałem po trochu biedakom pieniądze i zanim tu przyszedłem, już wszystko z owego skarbu stopniało do ostatniego grosza.

Małżeństwo dawniej a dziś.

Zawarcie dozwonnego węzła małżeńskiego jest dzisiaj uznane wyłącznie od dwojga zakochanych. Ze zdaniem papy i mamy liczy się wtedy tylko, o ile ci są w możności wylczenia na stoł odpowiedniej sumy posagu. Współczesna garsonka i od powiedno wykulturowany młodzian nie wyobrażają sobie niezbytności błogosławieństwa rodzicielskiego, żenią się z własnej nieprzymuszonej woli i kwita.

Nie tak to w dawne czasy bywało!

Z okrutnych praw, które wraz ze zniszczeniem poddaństwa zginęły bezpowrotnie, wiele dotyczyło związków małżeńskich.

Poddani nie mogli posiadać ogniska domowego, należeli oni ciałem i duszą do swego pana.

Pewien naprzykład baron normandzki zgromadzał na rok swoich włości i łączył ich w pary, kierując się wyłącznie swoją fantazją. W sposób ten powiększał rok rocznie w określonym terminie liczbę rąk roboczych, postępując w tym wzgl. jak przy prowadzeniu racjonalnej hodowli bydła.

Pod koniec jednak wieków średnich, gdy obyczaje złagodniały. Kościół dawał śluby ludziom niższego stanu wtedy nawet, gdy nie można było uzyskać zezwolenia panów. Jeśli łącząca się para należała do dwóch właścicieli, to dzieci zrodzone z tych małżeństw, szły do podziału obu panów, a specjalna umowa określała warunki.

Nie zawsze jednak stosowano podobne załatwienie takiej sprawy. Jako przykład okrucieństwa niechaj posłuży następująca historia, cytowana przez Grzegorza Turaneńskiego, kronikarza frankońskiego.

Dwoje poddanych Ranchinga, wodza Franków, pokochali się wzajemnie. Po dwóch przeszło latach daremnych bładań o zezwolenie na ich ślub, połączyli się związkiem małżeńskim, a obawiając się najstraszniejszych męczarni na wypadek wykrycia ich tajemnicy, schronili się do kościoła, który w owych czasach był miejscem nietykalnym. Gdy się Ranching o tem dowiedział, udał się natychmiast do miejscowego kapłana i zażądał wydania swoich poddanych, oblecując darowanie im winy.

— Nie rozłączę ich — przysięga z ręką na ołtarzu. — Przeciwnie, jakkolwiek mi przykro, że stało się to bez mojego zezwolenia, uczynię, co w mojej mocy, żeby byli zawsze połączeni.

Kapłan uwierzył tej tak solennej przysiędze i wydał mu młode parę, poczem Ranching podziękował i zabrał ich do siebie.

Za powrotem do domu, na jego rozkaz ścięto grube drzewo, wydrążono pień i wrzucono go w głęboki dół wykopany w ziemi, umieściwszy w pniu żywą dziewczynę: ciśnięto następnie na nią jej małżonka, zabito wiekami i zasypano ten straszny grób, grzebiąc ich w ten sposób żywcem.

Na gorzkie wyrzuty kapłana, który dowiedziawszy się o tem, przybiegł natychmiast do Ranchinga, odparł ten z całym spokojem:

— Dotrzymałem wszakże przysięgi, połączyłem ich na zawsze.

Niemniej okrutnie karane było w tych czasach wiarołomstwo.

Prawo anglo-saksońskie skazywało mężczyznę na wygnanie, jego współwinowajczyni obcinano nos i uszy, wykluczając raz na zawsze miłość z życia nieszczęśliwej, która jej nadużyła.

U Saksonów zmuszano kobietę do powieszenia, poczem układano jej zwłoki na stosie, nad którym wieszano jej współnika. We Francji mąż jeśli nie chciał być okryty śmiešnością, musiał żonę wiarołomną zabić, co mu nie było poczytywane za zbrodnię.

Stosowano również i publiczną chłostę. W niektórych miastach — między innymi i w Polsce — smarowano wiarołomną miodem, tarzano w pierzu i oprowadzano po ulicach wśród śmiechu i szyderstw gawiedzi.

Na południu w wielu miastach sędzono winowajców na osie twarzą do ogona, tłum uliczników popędzał osła, nalgrawiając się ze skazanym.

Wszysto to jednak jest niczem w porównaniu do krwawych praktyk, do jakich w podobnych wypadkach uciekają się niektóre ludy, żyjące w stanie dzikim.

U Battasów naprzykład, zamieszkujących Sumatrę, wiarołomną żonę przykład, zamieszkujących Sumatrę, wiarołomną żonę przywiązują do słupa mającego kształt krzyża. Mąż zbliża się pierwszy i odcina nieszczęśliwej ofierze to co mu się wydaje najsmakowitszym kąskiem, więc najczęściej uszy.

Po nim podchodzą kolejno wszyscy należący do pokolenia mężczyźni i każdy odkrawa najwięcej pożądanego przez siebie kawałek. Ostatni zbliża się wódz — ma on prawo do głowy, którą jako trofeum zawieszają przed swoją chatą. Mózg oddają najczęściej również mężowi. Posiada on czarodziejskie własności i przechowują go starannie.

Całe ciało nieszczęśliwej zostaje na miejscu pożarte na surowo lub pieczone.

Ciekawe wiadomości.

Tatusiowe buciki.

Zosia była dziełczynką czteroletnią. Potrafiła już mamie skutecznie pomagać w gospodarstwie. A gdy tato wracał wieczorem z zajęć, prędko przynosiła mu buciki, aby się przezuł i trochę wypoczął.

Pewnego wiosennego dnia sąsiadka pani Cejkowa wybierała się na wycieczkę. Wstąpiła po Zosię: „Czy chcesz pojechać ze mną, malutka? Pojedziemy parowcem, jest tam las i łąka pełna kwiatów. Toz będzie radość!“

— „Jedź, Zosienko, jeżeli pani chce cię wziąć ze sobą!“ — zachęcała mama. Dziełczynka spytała: „A kiedy wrócimy?“ — „Dopiero późnym wieczorem“ — odpowiedziała jej pani. „Nie tak późno nie można.“ — „A dlaczego, Zosienko?“ — „A ktooby wieczorem podał tatusiowi buciki?“ — rzekła Zosia i nie pojechała. Obowiązek względem tatusia był dla niej miłszy niż wszystkie rozkosze wiosennej wycieczki.

Wesoły kącik.

Niemły napis.

W kościele jednego z miast stryjskich znajduje się pod obrazem na wielkim ołtarzu następujący cytat Pisma św. „Panie, odpuść im, albowiem nie wiedzą, co czynią.“

Przed każdym ślubem, który ma się odbyć przed owym ołtarzem, napis powyższy jest dyskretnie zasłaniany ze względu na nowożeńców.

Na lekcji religii.

Katecheta: Ile jest sakramentów?

Uczeń: Sześć.

— Mylisz się dziecko... siedem.

— Tatusi mowi, że sześć, bo małżeństwo i pokuta — to jedno.